



TOMASZ GORAZDOWSKI

OBIETNICA TIAKI

O NIEZWYKŁOŚCI
NOWEJ ZELANDII
I WYSP PACYFIKU



Bezdroża

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Autor oraz wydawca dołożyli wszelkich starań, by zawarte w tej książce informacje były kompletne i rzetelne. Nie biorą jednak żadnej odpowiedzialności ani za ich wykorzystanie, ani za związane z tym ewentualne naruszenie praw patentowych lub autorskich. Autor oraz wydawca nie ponoszą również żadnej odpowiedzialności za ewentualne szkody wynikłe z wykorzystania informacji zawartych w książce.

Redaktor prowadzący: Barbara Lepionka

Układ typograficzny i skład: Adrian Partyka

Projekt okładki: Jan Paluch

Zdjęcie na okładce wykorzystano za zgodą Adobe Stock.

Fotografie wewnątrz książki pochodzą z archiwum autora.

Fotografia na str. 41 – Flickr / 2il.org (CC BY 2.0)

Helion S.A.

ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice

tel. 32 231 22 19, 32 230 98 63

e-mail: redakcja@bezdroza.pl

WWW: <http://bezdroza.pl> (księgarnia internetowa, katalog książek)

Drogi Czytelniku!

Jeżeli chcesz ocenić tę książkę, zajrzyj pod adres

<http://bezdroza.pl/user/opinie/betona>

Możesz tam wpisać swoje uwagi, spostrzeżenia, recenzję.

ISBN: 978-83-283-4072-5

Copyright © Helion S.A. 2021

Printed in Poland.

- [Kup książkę](#)
- [Poleć książkę](#)
- [Oceń książkę](#)

- [Księgarnia internetowa](#)
- [Lubię to! » Nasza społeczność](#)

SPIS TREŚCI

- 9 Aotearoa — Kraj Długiej Białej Chmury
- 18 City of Sails. Miasto najlepszych żeglarzy świata
- 38 Niesamowita historia Arachnocampa luminosa
- 45 Najlepsze wino na świecie
- 51 Matamata, czyli niezwykła historia niezwykłego biznesu
- 60 Tongariro, siedlisko zła, czyli twoje nogi cię znienawidzą
- 67 Za kierownicą, czyli dlaczego Nowozelandczyk już nigdy nie będzie mistrzem świata Formuły 1
- 71 Rotorua, kultura przez duże K, zgniłe jaja i ptak nieptak
- 87 W stronę oceanu z królem w samochodzie
- 93 Ostatnia wycieczka z Taurangi. Wyspa White
- 96 Coromandel. Waihi i dupa w piachu
- 109 Na Polinezję, czyli jak cofnąć się w czasie
- 117 Welcome to paradise. W jakim raj? Stuknij się w głowę
- 129 Moorea. Tahiti w pigułce
- 141 Bora-Bora. Perła Pacyfiku
- 160 Wyspy Cooka. Wszystko na nie. Nie, nie, nie
- 170 Aitutaki. Tak, tak, tak
- 177 Cosa nostra i jej placówka na Wyspach Cooka
- 182 Frontem do klienta, ale jednak trochę bokiem
- 192 Jedna ziemia, jeden ocean, jedna szansa na ich ocalenie
- 196 Samoa, kolebka Polinezji
- 207 Pe'a, tradycyjny tatuaż
- 211 Wściekły pies z Samoa
- 219 W okolicach oka cyklonu

- 228 Skarb. Wyspa skarbów
- 234 Vanuatu, czyste szczęście na oceanie
- 249 Kawa na kolację. Kawa na sen
- 254 W stronę wulkanu. W stronę boga Yasur
- 276 Nowa Zelandia. Wyspa Południowa i nie tylko
- 284 Abel Tasman
- 296 Południe. Południowy wschód
- 310 Noc w namiocie, ale z bajerami. Glamping
- 324 Queenstown, przygodowa stolica świata
- 337 Instagram no. 1
- 345 Jacinda Ardern, ukochana premier z Facebooka
- 354 Garden City i jego tragiczne przypadki
- 370 Wyspa Północna — dogrywka
- 374 W stronę Zatoki Wysp i Kawakawy
- 383 Obietnica Tiaki



Nowa Zelandia, wyspy Pacyfiku, Australia. Nie da się ukryć, że tym razem pojechałem w miejsca wyjątkowe. Patrząc z perspektywy środka Europy, bardzo daleko. Patrząc z dowolnej perspektywy, bardzo egzotycznie i ciekawie.

Podczas przemówienia w czasie 73. sesji Zgromadzenia Ogólnego ONZ-etu Jacinda Ardern, premier Nowej Zelandii, powiedziała między innymi: *Jesteśmy małym odosobnionym krajem na dole południowego Pacyfiku. Nasi najbliżsi sąsiedzi muszą lecieć do nas co najmniej 3 godziny, a wszystko, co leży poniżej 12 godzin lotu samolotem, uznawane jest za coś bliskiego. Nie mam wątpliwości, że nasza geograficzna izolacja, która wydawać by się mogło, działa na naszą niekorzyść, jest naszym atutem.*

Faktycznie, geograficzne odizolowanie Nowej Zelandii to coś, co działa na korzyść tego kraju. Pokazała to dobitnie sytuacja z koronawirusem, choć gdyby nie stanowcze, skuteczne i szybkie decyzje rządu, mogłoby być inaczej.

Do pani Ardern jeszcze będę wracał w tej książce kilka razy, bo to wyjątkowa postać i po prostu zazdroszczę Nowozelandczykom takiej premier. Jacinda Ardern to Człowiek Roku na Pacyfiku — ten tytuł otrzymała w uznaniu za oddanie sprawom ochrony klimatu. W 2019 roku znalazła się na liście 100 najbardziej wpływowych osób na świecie. Była na 38. miejscu. Premier kraju, który jest na końcu świata i ma zaledwie 4 miliony mieszkańców!

Koniec świata. Jakie to pociągające. Może dlatego, że na koniec świata nie można wpaść ot tak sobie. Przy okazji czegoś innego. Jakoś. I ponieważ są na końcu świata, Nowa Zelandia, wyspy Pacyfiku i Australia

nadawały się znakomicie na kolejną „trójkową” podróż¹. W ramach wcześniejszych radiowych wypraw była już udana próba objechania świata na motocyklu, trasa z Alaski do Ziemi Ognistej czy odkrywanie azjatyckich zakamarków w podróży z Timoru do księcia Bhutanu.

Jak się zabrać za Nową Zelandię? Bo przecież można z dużym prawdopodobieństwem założyć, że nie będziemy mogli pojechać na tak długo, by zobaczyć dokładnie wszystko i wszędzie. Coś trzeba wybrać, a z czegoś zrezygnować. W tej książce staram się, między innymi, odpowiedzieć na to dość zasadnicze pytanie. Co, dlaczego i jak? A na dodatek dorzucam jeszcze klejnot w koronie, wyspy Pacyfiku, miejsca, o których niektórzy w ogóle nigdy wcześniej nie słyszeli. Wyspy Cooka, Vanuatu, Samoa... W tej książce oddam też głos ludziom, których spotkałem na swojej drodze: żyjącym w miejscach, o których opowiadam, wiedzącym o rzeczach, o których nie przeczytamy w przewodnikach.

O Australii opowiem kiedy indziej.

¹ Nawiązanie do tytułu cyklicznych relacji z wypraw autora (audycje emitowane w Programie III Polskiego Radia) — *przyp. red.*

The background of the book cover is a light teal color, overlaid with various shades of green fern fronds. The fronds are arranged in a dense, overlapping pattern, creating a lush, naturalistic feel. The text is centered in a bold, black, sans-serif font.

AOTEAROA – KRAJ DŁUGIEJ BIAŁEJ CHMURY

Kup książkę

Poleć książkę

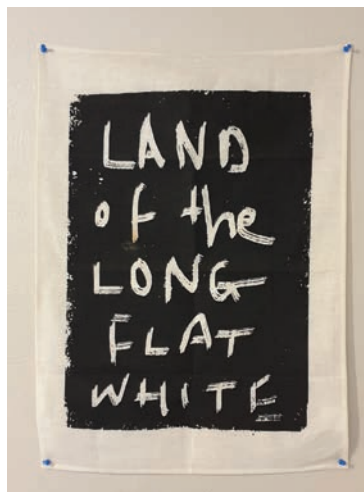
Kiedy stewardesy rozpoczynały swój rytuał przed lądowaniem, poczułam ulgę spływającą na mnie jak jakaś moc. Po tak wielu godzinach spędzonych w powietrzu perspektywa zejścia na ziemię i rozpoczęcia przygody była jeszcze bardziej kusząca. „Prosimy zapiąć pasy, oparcie foteli ustawić pionowo, dziękujemy za wspólny lot, mamy nadzieję zobaczyć państwa wkrótce”.

Nową Zelandię można polubić już na lotnisku w Auckland, zaraz po wylądowaniu. Lotnisko jest przyjazne, kompaktowe, sprawnie zarządzane, co powoduje, że bagaże na ogół wyjeżdżają szybciej niż na Okęciu. Jest się od kogo uczyć i z kogo brać przykład. Odprawa paszportowa i celna też idą na ogół sprawnie, chyba że zaznaczy się w deklaracji, że przewozi się coś niedozwolonego albo dozwolonego, ale pod jakimiś warunkami. Rośliny, nasiona, nieprzetworzoną żywność — wszystko, co może mieć wpływ na miejscowy ekosystem. Jedna nieopatrznie przywieziona szyszka jest zdolna spowodować katastrofę. Ktoś, kto kiedyś przywiózł tu po raz pierwszy króliki i oposy, też nie wiedział, że staną się plagą, z którą trzeba walczyć wszystkimi sposobami. Tak twierdzą i Nowozelandczycy, i Australijczycy. Więc jeśli masz ze sobą namiot, który niedawno był z tobą w Zimbabwie, albo śpiwór, w którym spałeś w Tajlandii, to masz pecha, bo kolejka do sprawdzania tego typu rzeczy jest z reguły naprawdę długa.

Mnie wydawało się, że nie mam ze sobą niczego, co mogłoby spowodować katastrofę ekologiczną w kraju Kiwi, i bez problemu postawię stopę po drugiej stronie świata. Niestety, pani celnik wyrywkowo zapytała właśnie mnie, czy mam buty trekkingowe. „Owszem, mam” — odpowie-

działem zgodnie z prawdą. „A to zapraszamy do kolejki obok”. I klops. Ta obok nie posuwała się prawie wcale i kiedy już znużony jak mops w końcu doczekałem się odprawy, przekonałem się, dlaczego to szło jak krew z nosa. Obsługa na tym stanowisku dla potencjalnych zabójców nowozelandzkiej przyrody była nadzwyczaj skrupulatna. Z moich butów trekkingowych celniczka skrupulatnie wydłubywała scyzorykiem zaschnięte grudki ziemi, które znalazły się tam chyba rok wcześniej, kiedy byłem na rajdzie Dakar w Peru. Już się trochę denerwowałem i niecierpliwiłem, już chciałem wyjść z lotniska... Dopiero potem zrozumiałem, że tak trzeba, by chronić tutejszą przyrodę. Sam fakt dezynfekowania butów przed wejściem do niektórych parków narodowych nie wystarczy. Na koniec pani celnik z uśmiechem zapytała mnie: *Can you handle the jandal?* „Że co proszę? W jakim to jest języku?” — myślałem szybciej, niż bym chciał. Jaki sandał? Jeszcze nie przekroczyłem granicy, a już się okazuje, że nie znam ich języka, mimo że sądziłem, że umiem w nim co nieco. Potem się wyjaśniło. Po ichniemu to pytanie oznaczało, czy daję sobie radę z tym, że musiałem czekać. Generalnie: czy sobie radzę.

Już na lotnisku można spotkać się z pierwszym punktem informacji turystycznej. Nie takim, jakie są rozsiane po całym kraju i stanowią moim zdaniem wzorcowe punkty informacji turystycznej, ale i tak świetnie zorganizowanym. Odbiór zarezerwowanego samochodu? Proszę na lewo od wyjścia 11. Gdzie można kupić kartę do internetu? W sklepie przy kolejnym wyjściu. Najbliższe bądź najtańsze w tej chwili hotele w mieście? Proszę bardzo. No i najważniejsze: uwagi i sugestie dotyczące tego, gdzie pojechać, jak się tam dostać, co



zobaczyć i jak sobie zagospodarować czas. To zadziwiające, ale nawet przy mnie, w czasie, kiedy coś tam załatwiałem, pojawiali się ludzie niemający najwyraźniej żadnego planu na siebie, pytający osoby w okienku: „Mam dwa tygodnie, co powinienem zobaczyć?”. Do punktów informacji turystycznej w Nowej Zelandii jeszcze wrócę, bo są warte osobnego wątku.

Turystyka jest w Nowej Zelandii bardzo ważna, z roku na rok ważniejsza. Cały kraj, w tym oczywiście okolice Auckland, to istny raj dla lubiących wycieczki piesze. Ekstremalne wycieczki piesze też. Od lat siedemdziesiątych XX wieku Nowa Zelandia buduje szlaki piesze w całym kraju. W 1975 roku powstała The New Zealand Walkways Commission, której zadaniem było przygotowanie szlaku pieszego prowadzącego przez całą Nową Zelandię. I taki szlak otwarto. W 2011 roku Te Araroa został oficjalnie otwarty przez generalnego gubernatora sir Jerry'ego Mateparae. Wydano też pierwszy przewodnik *Te Araroa: A Walking Guide to New Zealand's Long Trail*. Szlak liczy 3000 kilometrów i należy do najdłuższych na świecie. Prowadzi z Cape Reinga na dalekiej północy do Bluff na bardzo dalekim południu. Łączy wiele istniejących ścieżek, tworząc drogę przez cały kraj wzdłuż wybrzeża, przez pola uprawne, winnice, wzgorza wulkaniczne i góry. Te Araroa można pokonać w obu kierunkach. Z reguły osoby chcące przemierzyć cały dystans startują z północy w okolicach października i listopada i wtedy są w stanie przejść większość Wyspy Południowej przy optymalnej pogodzie. Z reguły udaje się ominąć problemy ze śniegiem na południu. Zakłada się, że na pokonanie każdej z wysp potrzeba od 50 do 80 dni. Oczywiście ten okres jest uzależniony od stopnia sprawności maszerujących, pogody i czasu, jaki chcemy przeznaczyć na marsz. Najkrócej, czyli 50 dni, oznaczać będzie intensywny szybki spacer przy sprzyjającej pogodzie. Kiedy pozwolimy sobie na 80 dni w podróży, powinien być to przyjemny długi spacer, pod warunkiem że mamy wygodne buty.

Można na piechotę, ale można też rowerem. I na taką ewentualność Nowozelandczycy przygotowali się znakomicie. Zwiedzanie Nowej Zelan-

dii rowerem to jedna z najlepszych opcji. Osiemnaście tak zwanych *great race* przygotowanych kosztem blisko 30 milionów euro, składających się w sumie na 2000 kilometrów czeka na rowerzystów. Ngā Haerenga, the New Zealand Cycle Trail. *Ngā Haerenga* oznacza „podróżę”, zarówno w sensie fizycznym, jak i duchowym, co jest właśnie tym, czego się powinno doświadczać na szlaku rowerowym Nowej Zelandii. Wśród szlaków są na przykład Alps 2 Ocean Cycle Trail. Szlak z Canterbury do Otago jest najdłuższy z nowozelandzkich szlaków, liczy ponad 300 kilometrów. Najkrótszy jest 34-kilometrowy Roxburgh Gorge Trail. To niedługo, ale spektakularny odcinek pomiędzy Alexandrą a zaporą Roxburgh, wzdłuż rzeki Clutha.

Można łądzią, żaglówką, samochodem, vanem, kamperem, posuwając się najpopularniejszą trasą, która w zasadzie obejmuje większość atrakcji na wyspach Północnej i Południowej. W trzy tygodnie jesteście w stanie pokonać trasę zaczynającą się w Auckland, a potem biegnącą przez Bay of Islands, półwysep Coromandel, Rotoruę, Napier, Wellington, Marlborough, Nelson, Kaikourę, Christchurch, jezioro Tekapo, Queens-town i Dunedin. Pomysłów na zwiedzanie kraju jest tyle, ile szlaków.

Po 25 godzinach podróży w końcu stawiasz stopę po drugiej stronie kuli ziemskiej. Naprawdę niewiele brakuje, by szpilka wbita w globus w Nową Zelandię wyszła z przeciwnej strony na terenie Polski. Dalej się po prostu nie da. Najbliższym punktem antypodów Polski, który wypada na oceanie, jest należący do Nowej Zelandii archipelag Chatham. Miejsce jak wiele w tamtych stronach świata wyjątkowe. Żyje swoim rytmem. Obowiązuje tam niespotykana nigdzie indziej na świecie strefa czasowa: UTC+12:45. Na wyspie Chatham i sąsiedniej Pitt mieszka łącznie 600 osób. Jest bank, sklep, przychodnia. Śpi się u ludzi. Gospodarz wyjedzie po ciebie na lotnisko, bo autobusów nie ma. Nie jesteś z kimś po słowie w sprawie noclegu, nie zostaniesz wpuszczony na pokład samolotu lecącego na Chatham.

Ale tym razem to nie Wyspy Chatham były moim celem.

Doba spędzona w samolocie robi swoje, chyba że leci się pierwszą klasą — wtedy niedogodności są zapewne mniejsze, ale wrażenie, jakby się miało na głowie kubeł, może być podobne i na dodatek nie znika po wyjściu z samolotu. W końcu różnica czasu ma znaczenie. W Europie jest szósta rano, w Nowej Zelandii szósta po południu. Wszystko na głowie. Noc dzień, dzień noc. Dopiero po jakimś czasie nowozelandzka noc staje się twoją nocą. Biologicznego zegara nie oszukasz, przynajmniej nie od razu, a więc przez pierwsze dni chcesz spać w kawiarni, kiedy wpadniesz na śniadanie, podczas obiadu, przed kolacją i po niej, a kiedy przychodzi noc, oczy ci się rozszerzają jak u sowy, zmysły się wyostrzają i ze snu nici. Budzisz się w środku nocy i nie możesz ponownie zasnąć. Sprawdzo-
na przeze mnie metoda, niespecjalnie skomplikowana, to nie spać jak najdłużej, nie pozwolić sobie nawet na najkrótszą drzemkę, dociągnąć do kolejnej nocy, nowozelandzkiej nocy, i być tak zmęczonym, by czas nie miał już najmniejszego znaczenia.

Na szczęście te kłopoty mijają. U jednych szybciej, u innych wolniej, ale mijają i wtedy można już chłonać to, co dookoła. No bo jesteśmy prawie w raju. Tak mówią, o czym można przekonać się samemu.

Nie bez przyczyny w większości rankingów Nowa Zelandia znajduje się w pierwszej dziesiątce najlepszych krajów do życia. Na całym świecie. Mili ludzie, dobre szkoły, wysokie zarobki, przyjazne obywatelowi państwo, luźny styl życia i chyba najważniejsze: obłędna przyroda, z którą równać się mogą jedynie światowi giganci w tej kategorii o wielokrotnie większej powierzchni — Stany Zjednoczone, Brazylia, Kanada... Tu, w kraju o wielkości równej 85 procent powierzchni Polski, jest wszystko. Bajeczne, tropikalne plaże na północy kraju i na północy Wyspy Południowej, lodowce i fiordy na południu, dżungla, góry, wulkany, jeziora, gorące źródła. Wszystko niezniszczone, niezadeptane. Piękne, wciągające. Na powierzchni niewiele większej niż Wielka Brytania żyje 14 razy mniej ludzi niż w królestwie Elżbiety II. Tylko 4 miliony. A przecież trzy czwarte populacji mieszka na Wyspie Północnej, w tym 1,6 miliona Kiwi,

jak mówią o sobie Nowozelandczycy, w Auckland. Zatem na Wyspie Południowej żyje zaledwie milion ludzi. To tak, jakby na połowie terytorium Polski, poniżej linii Poznań – Warszawa – Biała Podlaska, mieszkał tylko milion ludzi! Bez trudu można zatem znaleźć zakątek tylko dla siebie. Łatwiej spotkać owcę niż człowieka. Znacznie łatwiej, bo na jednego Kiwi przypada w tym kraju 12 owiec.

W ostatnich dziesięcioleciach Nowa Zelandia odnotowała imponujący wzrost dobrobytu i zamożności życia. Znacznie rozwinęła się gospodarka. Eksport owiec, wołowiny, nabiału, drobiu, owoców i warzyw oraz wina przestał ograniczać się do Wielkiej Brytanii, zainwestowano w produkcję i turystykę. Dochód na mieszkańca jest wysoki, a wydatki na edukację jako procent produktu krajowego brutto należą do najwyższych na świecie. Nowa Zelandia przestała być tylko miejscem po drugiej stronie globusa. Nawet Australijczycy, którzy na ogół z pogardą i pobłażaniem wyrażali się o „pasterskim ludzie z Nowej Zelandii”, teraz coraz chętniej przenoszą się do wiecznie zielonego kraju leżącego tylko trzy godziny samolotem od ich ojczyzny. Z punktu widzenia Kiwi Australia była krajem mleka i miodu, bogatym starszym bratem, u którego łatwiej było stanąć na nogi i zacząć nowe życie. Na podstawie umowy między tymi dwoma krajami o swobodzie przemieszczania się i osiedlania przez lata co roku około 40 tysięcy Nowozelandczyków migrowało do Australii. Sytuacja się zmieniła w 2015 roku. Wtedy po raz pierwszy więcej Kangurow skoczyło na stałe do kraju Kiwi niż Nowozelandczyków przeniosło się do Australii. I ta tendencja się utrzymuje.

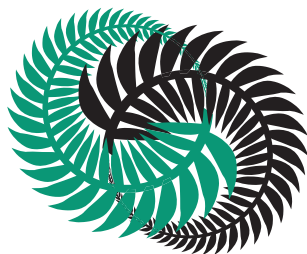
Kiedyś kraj rozślawiali sir Edmund Hillary, pierwszy zdobywca Mount Everestu (w 1953 roku), i lord Ernest Rutherford, który podzielił atom. Co jeszcze zawdzięczamy Kiwusom? Skok na bungee, prawie odrzutową łódź Hamilton Jet, hakę, emocje związane z rugbymi i Pucharem Ameryki. No i to, co w nowoczesnym świecie jest najważniejsze: *Władcę Pierścieni*, trylogię Tolkiena zekranizowaną przez Nowozelandczyka Petera Jacksona w większości w Nowej Zelandii właśnie, który to film przyczynił

się do niebywalej popularyzacji kraju. Cały świat zobaczył, jak pięknie jest w Nowej Zelandii, i wielu ludzi zapragnęło tu przyjechać, by osobiście się o tym przekonać. A ze spraw niezwiązanych z tolkienowskim Śródziemniem — Nowozelandczykom zawdzięczamy również flat white. Tu, nad zatoką Hauraki, wymyślono kawę, którą przygotowuje się przez zalanie jednej lub dwóch porcji espresso spienionym mlekiem o jednolitej aksamitnej konsystencji. W odróżnieniu od caffè latte jest zazwyczaj podawane w kubku lub dużej filiżance i ma na wierzchu mniej piany z mleka. A kawę Nowozelandczycy mają świetną i doceniają jej rolę w życiu. W Nowej Zelandii w przeliczeniu na głowę mieszkańca jest więcej kawiarni niż w Nowym Jorku. I deser Pavlova zawdzięczamy Nowozelandczykom. I ośmiogodzinny dzień pracy przyjął się tu jako pierwszy. I nowozelandzkie kobiety jako pierwsze w świecie dostały prawa wyborcze. I tu po raz pierwszy wprowadzono emerytury. Sporo jak na mały kraj na końcu wszystkiego.

Wypożyczenie samochodu, zakup karty internetowej potrzebnej do łączności i po lekturze znakomitego magazynu dla przyjeżdżających do kraju, dostępnego bezpłatnie na lotnisku, który sam w sobie mógłby być przewodnikiem po Nowej Zelandii, można ruszać.

Na początek kupa śmiechu. Lewostronny ruch to pikuś w porównaniu z odwrotnie usytuowanymi wskaźnikami i dźwigniami w samochodzie. Tam, gdzie powinien być kierunkowskaz, są wycieraczki, więc w moim przypadku mimo świecącego słońca każdy skręt czy zmiana pasa ruchu odbywały się z pracującymi wycieraczkami. A że manewry były zdecydowane, wycieraczki pracowały, jakby było urwanie chmury. Nie wspomnę już o tym, że kiedy chciałem przeczyszczyć szybę... Tak jest: sygnalizowałem zmianę pasa ruchu lub zjazd z autostrady. I jeszcze: u nas przy skręcie w prawo przesuwamy dźwignię do góry, w Nowej Zelandii nie dość, że nie ta ręka, to jeszcze dźwignia powinna wędrować w dół. Takie śmieszne drobiazgi. Gdybym jednak wiedział wtedy to, co wiem teraz... Cóż, mądry Polak po szkodzie. Zdecydowałem się wypożyczyć

mazdę 2, a okazuje się, że samochody japońskie mają tu właśnie taki układ wskaźników i dźwigni, natomiast samochody europejskie, taki na przykład citroen czy bmw, mimo kierownicy po prawej stronie mają wszystko tak jak u nas, czyli komfort podróżowania wzrasta.





**CITY OF SAILS.
MIASTO NAJLEPSZYCH
ŻEGLARZY ŚWIATA**

Jak niewiele miast na świecie, Auckland położone jest między dwoma naturalnymi portami. Tylko 16 kilometrów dzieli zatokę Hauraki, port Waitematā od strony Pacyfiku i port Manukau od strony Morza Tasmana. Droga między jednym wybrzeżem a drugim, *coast-to-coast walk*, to jeden z ulubionych szlaków mieszkańców. Miasto otoczone jest wzgórzami, z charakterystycznymi stożkami wulkanicznymi porośniętymi lasem tropikalnym.

Teren, na którym leży Auckland, został zasiedlony około 1350 roku. Gdy na tych ziemiach pojawili się Europejczycy, mieszkało tu 20 tysięcy Maorysów. W 1840 roku, kiedy założono kolonię brytyjską, William Hobson, gubernator Nowej Zelandii, wybrał właśnie to miejsce na nową stolicę. Została nazwana na cześć George’a Edena, księcia Auckland, pierwszego brytyjskiego lorda admiralicji. Maorysko-europejski konflikt



o te ziemie doprowadził do wojny w połowie XIX wieku. W 1865 roku przeniesiono stolicę z Auckland do Wellington, jednak do dziś to Auckland jest głównym, największym miastem w kraju.

W aglomeracji Auckland żyje blisko 2 miliony ludzi, czyli niemalże połowa wszystkich mieszkańców Nowej Zelandii. Mimo że jest jednym z najdroższych miast świata, jeżeli chodzi o koszty życia, w rankingu miast, w których żyje się najlepiej (Mercer Quality of Living Survey), w 2019 roku zajęło trzecie miejsce na świecie. Bo miejscami Auckland jest naprawdę fajnym miastem. Szczególnie gdy jest dobra pogoda, nad wodą, w okolicach portu albo w modnych dzielnicach takich jak Parnell czy Ponsonby.

Jak najdłużej nie zasnąć, jak najdłużej nie zasnąć, nie zasnąć, nie zasnąć, żeby nie męczyć się przez kolejne noce i dni. A więc nad wodę, bo woda jest najważniejsza. Jak w Sydney, Vancouverze, Rio, wszystkich miastach położonych spektakularnie nad oceanem.

Dotarłem do Auckland w 179. rocznicę założenia miasta. Trzy dni trwały pokazy świateł i sztucznych ogni, regaty w zatoce, bo tu nic się nie może odbywać bez regat i rugby. Pokazy, wystawy, konkursy i koncerty. Spędzając pierwsze senne godziny w mieście i kolejne, kiedy trzeźwość oceny nie zaburzało mi już zakrzywienie czasu, odnosiłem wrażenie, że Auckland to metropolia na skalę światową. Tak jest, kiedy pierwsze kroki kieruje się, co oczywiste, nad zatokę, do portu, do Viaduct Harbour, czyli w miejsca, gdzie bije serce miasta. Potem się okazało, że dalej od ścisłego centrum Auckland przypomina raczej senne miasto, w którym mało co się dzieje. Ale w centrum, na dodatek w czasie rocznicy założenia, miasto wyglądało imponująco. Wszyscy się bawili. Knajpy pękały w szwach, na stolik trzeba było czekać kilkanaście minut. Odgłosy zabawy, festynu dochodziły z każdej strony. W porcie odbywały się wyścigi smoczych łodzi. Brały w nich udział aż 32 osady, rywalizując o pudełko czekoladek, no i o zwycięstwo. Dwa rzędy wioślarzy, szlakowy i sternik. Łodzie 10- lub 20-osobowe. Załogi mieszane, męskie, damskie. Uczestnicy od bardzo

młodych po starsze panie, które raczej widziałbym przed telewizorem z motkiem wełny niż ścigające się w zawodach smoczycich łodzi. Niesłusznie, o czym miałem okazję przekonać się później jeszcze niejedną raz.

Fajnie patrzyło się na regaty, które jak się okazało, były największymi jednodniowymi regatami na świecie. Wieczorami nad wodą odbywały się koncerty. Nabrzeże roіło się od ludzi. Panowała piknikowa atmosfera, ludzie siedzieli na kocach, ze scen płynęła muzyka, przyczepy sprzedające jedzenie przeżywały obłążenie. Gdybym im wtedy powiedział, że za rok o tej porze będą zamknięci w domach, trafiłbym zapewne do wariatkowa.

Chyba tylko tu, w porcie Auckland, po zapłaceniu jedynie 100 dolarów² można przepłynąć się pod żaglami jachtem, który wygrał Puchar Ameryki, zatem spróbować czegoś zarezerwowanego tylko dla miliarderów. I w ogóle zaledwie dzień czy dwa wystarczyły mi, żebym się zorientował, że wszystko, co się dzieje w Auckland, ma jakiś związek z wodą. Dla Nowozelandczyków tak ważne jest morze, ocean, że chyba tylko Brytyjczycy mogą się pod tym względem z nimi równać. Nie dało się inaczej, skoro do najbliższego dużego łądu jest stąd 1600 kilometrów (do Australii), a w drugą stronę 1500 kilometrów na Nową Kaledonię. Biorąc pod uwagę, że od czasu, kiedy Holender Abel Tasman, który 13 grudnia 1642 roku jako pierwszy Europejczyk zobaczył Nową Zelandię, do momentu wynalezienia samolotu minęło sporo lat, przez stulecia miesz-



² Jeżeli w tekście nie zaznaczono inaczej, mowa o dolarach nowozelandzkich — *przyp. aut.*



kańcy, a potem kolonizatorzy zdani byli wyłącznie na transport morski. Abel Tasman, zdaje się, nie postawił zresztą nogi na Nowej Zelandii, a jego ludzie zostali zabici podczas próby zejścia na ląd w miejscu, które potem Tasman nazwał Zatoką Morderców. Dziś to miejsce nazywa się ładniej: Żółtą Zatoką.

Nigdzie indziej na świecie jak właśnie tu, w Auckland, nie ma takiej liczby jachtów na głowę mieszkańca. Ale to nic dziwnego, jeśli się ma pod nosem tak piękną zatokę jak Hauraki. Nigdzie indziej nie planuje się i nie buduje miasta z takim uwzględnieniem tego, co ma się dzieć na wodzie. Nie bez powodu przylatujących do Auckland zaraz po wyjściu z lotniska wita wielki napis „City of Sails”, Miasto Żeglarzy. W mieście zarejestrowanych jest 135 tysięcy jachtów i kutrów. Ponad 60 tysięcy z 149,9 tysiąca zarejestrowanych żeglarzy w tym kraju pochodzi stąd. Jedna trzecia gospodarstw domowych w Auckland posiada łódź. Nie ma się co dziwić, bo warunki do pływania i do życia nad wodą są nieprawdopodobne. W porcie Waitematā znajduje się kilka znanych klubów jachtowych i marin, w tym Royal New Zealand Yacht Squadron i Westhaven Marina, największa na półkuli południowej. Równy 2000 miejsc na jachty — i nie ma miejsc!

Port Waitematā ma kilka znakomitych plaż, w tym Mission Bay i Kohimarama po południowej stronie portu oraz Stanley Bay po północnej. Na wschodnim wybrzeżu w North Shore znajdują się doskonałe plaże do pływania: Cheltenham i Narrow Neck. Centralna część miasta leży na wąskim pasku ziemi, który oddziela od siebie dwa obszary morskie: port Manukau na Morzu Tasmana i port Waitematā leżący już na Pacyfiku. Auckland jest jednym z niewielu miast na świecie, które ma dwa porty nad dwoma różnymi morzami czy oceanami.

Żeglarstwo jest tu czymś absolutnie wyjątkowym. Nowozelandczycy długo szukali tego, czym mogliby na świecie zaznaczyć swoją obecność, pokazać, w czym są absolutnie najlepsi. Szybko się zorientowali, że żeglarstwo to nie tylko dobry sport, ale dla nich również świetny biznes. To, co powstaje w światowym żeglarstwie najlepszego, powstaje w Nowej Zelandii. Najlepszymi żeglarzami na świecie, chociażby w Pucharze Ameryki, są Nowozelandczycy. Auckland rozwija się niezwykle dynamicznie i w ten rozwój miasta jak nigdzie indziej wpisane jest żeglarstwo. Wybudowali fantastyczne porty jachtowe. Viaduct Basin był głównym centralnym portem Pucharu Ameryki w 1999 roku. Teraz jest miejscem, w którym koncentruje się kulturalne, gastronomiczne i rozrywkowe życie miasta.

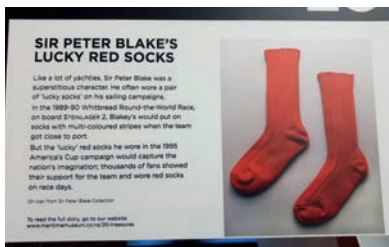
Zdobycie Pucharu Ameryki przez ten mały kraj było czymś absolutnie wyjątkowym. Zaczęto rozwijać miasto, infrastrukturę żeglarską, przebudowano centrum, by zmieściła się w nim fantastyczna wioska na kolejny Puchar Ameryki, żeby zmieściły się bazy syndykatów, które będą rywalizować o to najstarsze na świecie, niezwykle prestiżowe trofeum. Regaty na Bermudach w 2017 roku pokazały, co trzeba zrobić, jak pływać, by znowu zdobyć Puchar Ameryki. Grant Dalton jako szef zespołu Emirates Team New Zealand i Peter Burling za sterami pokonali Oracle Team USA (7 do 1) i puchar wrócił do Auckland.

Kolejne zawody odbędą się w Auckland w 2021 roku. I to widać. Miasto się przebudowuje. Okolice Queen Street, czyli najważniejszej ulicy w mieście, są odgradzone płotami, trwa budowa, wszystko ma być



gotowe na zawody, na xxxvi Regaty o Puchar Ameryki. Zespoły będą rozlokowane w bazach na Hobson Wharf, w Viaduct Events Center i na Wynyard Wharf. Publiczność będzie mogła zobaczyć ich codzienną pracę, operacje logistyczne i całe zaplecze wielkiego sportu. Miejsce, gdzie ma mieć siedzibę Emirates Team New Zealand, ma odwiedzać do 40 tysięcy widzów dziennie. Przypłyną superjachty z milionerami na pokładzie. Obliczono, że każda taka jednostka podczas ostatnich zawodów została w mieście 2 miliony dolarów. Jest o co walczyć. Nad wodą planuje się wybudować kolejne luksusowe apartamenty, inwestycje idą w setki milionów dolarów. Mają powstać tysiące nowych miejsc pracy.

A jeszcze w latach dziewięćdziesiątych xx wieku po prostu budowano tu łódzie, remontowano je, tu swoje miejsce miały zakłady szkutnicze. Wszystko się zmieniło po pierwszym zdobyciu Pucharu Ameryki w 1995 roku, bo kolejne zawody rozgrywane są na wodach państwa, które wygrało poprzednie zawody. Wypadło na Auckland. Teraz na Viaduct Harbour mieści się ponad 30 barów i restauracji, hoteli i wodnych atrakcji turystycznych. W New Zealand Maritime Museum można zobaczyć morską historię Nowozelandczyków, przeróżne wystawy tematyczne,



w tym *Blue Water, Black Magic*, hołd dla legendy żeglarstwa z Auckland, najbardziej utytułowanego żeglarza sir Petera Blake'a zamordowanego w 2001 roku w Brazylii. W tym muzeum można zobaczyć pełnowymiarową czarną łódź z regat o Puchar Ameryki i słynne szczęśliwe czerwone skarpetki Blake'a. Po jego sukcesie w Pucharze Ameryki cała Nowa Zelandia chodziła w czerwonych skarpetkach na znak dumy i solidarności.

Okolice muzeum to wyjątkowe miejsce w Auckland. Obok basen portowy, łódki gotowe do wypłynięcia albo jeszcze niesklarowane po przypłynięciu. Trudno opisać atmosferę tego miejsca. Czuje się tam, ja czułem, najlepszą z możliwych energię. To najlepsze wydanie bez-troskiego świata. Zapewne i tu sięgają jego troski, ale jakoś mniej je widać. Te żaglówki, umięśnieni, ogorzali od słońca żeglarze, szczęśliwe kobiety u ich boku... Pewnie nie wszystkie, ale jednak. No dobrze, może szczęśliwe, uśmiechnięte kobiety i pracujący u ich boku na pokładach mężczyźni. Nie zaglądamy nikomu głębiej w duszę, na pierwszy rzut oka widać spełnienie i zadowolenie z chwili i miejsca, w którym ci ludzie są. Może samo obcowanie z łodziami i wodą wystarczy, w końcu jesteśmy w Auckland, City of Sails, a to są Nowozelandczycy. Unoszący się w powietrzu delikatny zapach pieniędzy tu nie przeszkadza. Wszak pewnie każdy z cumujących tam jachtów wart jest miliony dolarów, obok znajdują się najlepsze w kraju restauracje i kluby, kilka przecniek dalej czekają zaparkowane limuzyny. A do tego wszystkiego komfortowa temperatura około 28 stopni Celsjusza, słońce odbijające się w wodzie, lekka bryza. Naprawdę, czułem tam pozytywną energię.



Długoterminowe korzyści wynikające z przebudowy okolicy są widoczne w liczbie wielkich imprez międzynarodowych, które od 1995 roku, czyli od pierwszego zwycięstwa Nowozelandczyków w Pucharze Ameryki, odbyły się w Auckland i Viaduct Harbour. Tu było główne miejsce obrony America's Cup w 2000 roku, regat Louis Vuitton, tu cumowały jachty podczas Volvo Ocean Race, Millennium Cup i Vendee Globe. W 2011 roku obok, w Queens Wharf, biło serce pucharu świata w rugby. Po drugiej stronie ulicy od Queens Wharf powstała Britomart — tętniąca życiem okolica designerskich butików, kawiarni, restauracji i barów w 17 odnowionych zabytkowych budynkach. Można tu bez problemów dojechać metrem.

Doświadczenie America's Cup Sailing u touroperatora Explore Group (180 dolarów) pozwala amatorom poczuć dreszcz adrenaliny towarzyszącej pływaniu na 80-stopowej łodzi, która służyła jako jednostka treningowa dla drużyny Nowej Zelandii. Rejsy po porcie i okolicach trwają około dwóch godzin. Starszy model nadal zapewnia dużą prędkość, a załoga zachęca wszystkich pasażerów do kierowania i obracania młynkami, aby dostosować żagle do wiatru.

Miałem wielkie szczęście, że przyjechałem do Auckland właśnie w urodziny miasta. Jak naprawdę jest w byłej stolicy Nowej Zelandii, opowiedział mi mieszkający w Auckland już 13 lat Michał Martyniuk. To

wielka metropolia — jak na nowozelandzkie standardy ogromna — ale ludzie przyjeżdżając do Auckland, po jakimś czasie orientują się, że nawet gdy ich stać na wynajęcie domu (a nie jest to oczywiste, nawet jeżeli chodzi o zarabiających więcej niż minimum), to oprócz bratania się z naturą i aktywnym spędzaniem czasu na łonie natury nie bardzo jest w mieście co robić. Michał był pierwszym Polakiem, którego spotkałem podczas podróży. Utalentowany muzyk (nominowany w 2019 roku do nagrody Fryderyka za muzykę jazzową) narzekał na brak możliwości rozwoju.



Do Nowej Zelandii po raz pierwszy przyleciałem w 2006 roku po ukończeniu liceum muzycznego w Poznaniu i zdaniu matury. Dołączyłem wówczas do rodziców, którzy wyemigrowali wraz z moim bratem już dwa lata wcześniej. Zamieszkaliśmy w Auckland — największym i najbardziej zaludnionym mieście na Wyspie Północnej.

Jeżeli chodzi o rozrywkę, skupię się na opisie sceny jazzowej w Nowej Zelandii, na której — odkąd po raz pierwszy przyleciałem do tego kraju — zależało mi najbardziej. Pamiętam, że w tamtym czasie chodziłem od klubu do klubu i szukałem muzyki na żywo. Okazji do posłuchania jazzu nie było jednak zbyt wiele. Tym bardziej że środowisko muzyczne w Nowej Zelandii jest bardzo hermetyczne. Dopiero z czasem, gdy rozpocząłem studia na kierunku muzycznym na Uniwersytecie w Auckland i poznałem tutejszych muzyków — z którymi do dziś koncertuję — zaczęłem uczestniczyć w tak zwanych jam session. Mówię teraz o roku 2006/2007. Już wtedy było jednak zaledwie kilka klubów, w których regularnie grano muzykę na żywo. Nie zawsze był to jazz, który najbardziej mnie interesuje, ale wciąż była to muzyka na wysokim poziomie. Z czasem, podążając za trendami, kluby zaczęły zatrudniać DJ-ów i okazji do posłuchania muzyki granej na instrumentach było jeszcze mniej.

Dziś trudno jest znaleźć miejsce, gdzie grają jazz, a publiczność odwiedza takie kluby jedynie w weekendy. Jest tu jeden klub, w którym raz

w tygodniu odbywają się koncerty jazzowe — otwarty jedynie do trzeciej w nocy. Dla muzyków, którzy chcą rozwijać swoje umiejętności, mieć stały kontakt z publicznością i uczyć się od innych artystów, to za mało. Tak było również w moim przypadku — czułem, że w takich warunkach nie będę w stanie rozwinąć się jako muzyk, i zacząłem szukać inspiracji poza Nową Zelandią. Od 2016 roku regularnie podróżuję do Europy — głównie do Polski, gdzie staram się grać jak najwięcej i nagrywać płyty. Są to zarówno projekty jazzowe, które nagrywam pod swoim imieniem i nazwiskiem, jak również te związane z muzyką klubową, funk, R&B, soul, hip-hop, które mieszam z jazzem i prezentuję publiczności pod nazwą After 'Ours. To jest właśnie efekt tej muzycznej multikulturowości, którą mam w sobie i którą ciągle chcę rozwijać.

Nową Zelandię traktuję obecnie jako miejsce na wakacje, choć na pewno jeszcze tam wrócę na dłużej, to bowiem kraj, do którego mam sentyment. Mimo że na ten moment nie jest to dla mnie miejsce atrakcyjne zawodowo, często odwiedzam tu brata i znajomych, z którymi mam stały kontakt i z którymi koncertuję, będąc na antypodach. Auckland to też moje miasto.

Obowiązkowy i wcale nie taki oczywisty punkt z przewodników to kawa na samym szczycie góry Devonport (North Head), z której widać cały Auckland. Miłośnikom sportu zdecydowanie polecam również wizytę na plaży Orewa, gdzie można w ciągu dnia uprawiać kitesurfing, choć plaż i miejsc do tego typu aktywności jest w Nowej Zelandii mnóstwo. Trochę na zachód od miasta zdecydowanie polecam Piha, gdzie czarny wulkaniczny piach w otoczeniu gór (między innymi Lion Rock) sprzyja wyciszeniu i inspiruje. Najlepszy zachód słońca gwarantowany! Po zwiedzaniu warto się udać na najlepszą malezyjską laksę z kurczakiem w dzielnicy Newmarket — moja ulubiona — albo na fish & chips na plaży w Mission Bay. Auckland to kolebka smaków i kultur, w której każdy znajdzie coś dla siebie.





Muszę się przyznać, że razem z Michałem zaliczyłem laksę w Newmarket. Była pyszna, choć nie polecam zamawiania jej na ostro. Chyba że ktoś naprawdę lubi ostre smaki.

Niewiele dzieje się w klubach, ale czy musi się dziać? Aż szkoda marnować czas, kiedy dookoła jest tyle do zrobienia i zobaczenia. I wszystko na wyciągnięcie ręki. Plaże, zatoki, obserwowanie delfinów. Można pojechać na Muriwai Beach, żeby zobaczyć imponujące klify. Zaliczyć Piha, jak polecał Michał, po to by świetnie surfować, czy skierować się do Karekare — słynnej ze scen kręconego tam filmu *Fortepian (The Piano)*.

Zupełnie przypadkowo się okazało, że na pierwsze dni wylądowałem w Parnell. Może nie w miejscu jakoś bardzo charakterystycznym, ale zawsze w dobrej, wręcz ekskluzywnej dzielnicy. Jest to jedna z najbogatszych dzielnic Auckland, niezmiennie mieszcząca się w pierwszej trójce najbardziej pożądanых do zamieszkania i życia.

Często nazywana jest „najstarszym przedmieściem”, ponieważ została założona w najwcześniejszych dniach utworzenia europejskiej osady w Auckland w 1841 roku. Od razu widać podobieństwo do bogatych dzielnic w niektórych miastach USA czy Kanady. Zadrzewione ulice, duże posiadłości, przebudowane strefy przemysłowe z edwardiańskimi kamienicami i willami z lat dwudziestych XX wieku. No i widoki. Z dobre

usytuowanych domów albo tych najdroższych widzi się port Waitematā, wyspę Rangitoto i samo centrum miasta. Spokój i cisza, a w środku tego City Garden Lodge, czyli miejsce, gdzie pierwszy raz rzuciłem kotwicę w tej podróży. Noclegowisko. To określenie dobrze pasuje do tego hostelu. Najtańsze chyba w znośnej, akceptowalnej odległości od centrum (6 dolarów opłaty za hulajnogę za dojazd do Viaduct Basin). Hostel mieści się w starej, nie do końca wyremontowanej willi. Na pewno raczej klimatycznie niż ekskluzywnie i naprawdę tanio jak na Auckland. Miejsca w pokojach 6- i 10-osobowych są jeszcze tańsze, ale 2-osobowy „apartament” tylko dla siebie stanowił akceptowalny i zrozumiały luksus w tych warunkach. Wspólne prysznice? Nie szkodzi. Czysto, gorąca woda, dobre ciśnienie w kranie. Jak wszędzie w takich miejscach w Nowej Zelandii. I uwielbiany przeze mnie klimat podróży, podróżowania. Młodzi ludzie dyskutujący o tym, gdzie byli, dokąd chcieliby pojechać, wymiana informacji, nawiązywanie znajomości, a może przyjaźni.

W okolicy hotelu, hostelu, znajduje się sporo małych knajpek, restauracji, kawiarni, designerskich sklepów, modnych fryzjerów. Hipsterskie miejsce, ale jak wspomniałem — ze świetnymi rezydencjami, bogatymi domami. *Upper class*, jak tu mówią. Wąskie uliczki, na których trudno zaparkować, bo większość miejsc jest zarezerwowana dla mieszkańców. A spróbuj tylko zatrzymać się wzdłuż wymalowanej linii. Sąsiedzkie obywatelskie oko czuwa. Zaraz przyjadą odholować ci samochód, z mandatem przyjadą w najlepszym razie. Cóż, porządek i organizacja mają swoją cenę.

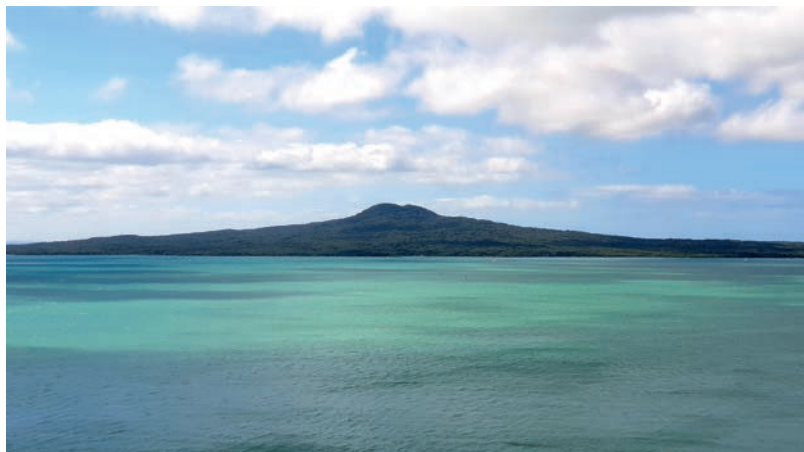
Podobnie nowocześnie w starym wydaniu jest w Ponsonby — dzielnicy położonej w takiej samej odległości od portu jak Parnell, ale bardziej na zachód. Samochodem dojeżdża się do portu w siedem minut, na piechotę dojdzie się w mniej niż pół godziny. Tu można spotkać fikuśne butiki, knajpki z jedzeniem z każdego zakątka świata, sklepy, w których nie znajdziemy tych samych ubrań co w sieciówkach. I świetne kawiarnie. Nie wiedziałem wcześniej, że Nowa Zelandia to kraj, w którym można



znaleźć baristę na wiejskiej stacji benzynowej. Bary espresso wydają się stać na każdym rogu w Auckland, ale jeśli chodzi o kofeinę i towarzyszące jej śniadanie, warto ich spróbować na przykład właśnie w Ponsonby i zasiąść przy wspólnych stołach w Orphans Kitchen. Ta 40-osobowa restauracja oferuje niezwykle potrawy, w tym pikantne masło orzechowe i kimchi marchewkowe na grzance (8 dolarów) oraz jajka w koszulce z anchois na zakwasie (17 dolarów).

Orphans Kitchen jest o przecznicy od tętniącego życiem Ponsonby Central. Tam się dopiero dzieje, jeżeli chodzi o jedzenie. Kurczę, mieli tam naprawdę najlepszą jagnięcinę, jaką w życiu jadłem. O retę... Wąskie alejki, a po ich obu stronach niewielkie lokale gastronomiczne. Ale nie tylko. Jest i modny fryzjer, jest sklep z ładnymi rzeczami, wszystko modne, designerskie. Przypomina to trochę Koszyki w Warszawie, Mercado da Ribeira w Porto czy Markthal w Rotterdamie. Oczywiście nie wielkością, bo to miejsce jest kilkakrotnie mniejsze niż wszystkie wymienione, ale klimatem panującym między kolejnymi stoiskami.

Wyjątkowość Auckland polega też na tym, że jako jedyne miasto na świecie leży na bazaltowym podłożu wulkanicznym, które jest ciągle aktywne i jak się szacuje, pozostanie aktywne przez najbliższych



kilka milionów lat. W ciągu ostatnich 90 tysięcy lat wystąpiło tu blisko 90 poważnych erupcji 50 wulkanów. Prawdopodobieństwo, że coś wybuchnie wtedy, kiedy akurat będziemy w mieście, jest więc stosunkowo nieduże (jeden wybuch na 10 tysięcy lat), choć zapewne podobnie myśleli mieszkańcy Pompejów. Same wulkany zlokalizowane w mieście uważa się za wygasłe, ale płyta, na której leży miasto, jest aktywna. Najnowszy i zdecydowanie największy wulkan, wyspa Rangitoto, powstał w ostatnim tysiącleciu, a przez jego erupcje zostały zniszczone osady Maorysów na sąsiedniej wyspie Motutapu około 600 lat temu. Rangitoto obok Harbour Bridge jest chyba najbardziej charakterystycznym widokiem w Auckland.

Ci, dla których w mieście będzie za spokojnie, mogą wyskoczyć na wieżę w Auckland. A w zasadzie mogą wyskoczyć z wieży. Sky Tower ma 328 metrów wysokości i od 20 lat jest najbardziej charakterystycznym obiektem w mieście. W dzień buroszara, wieczorem staje się biało-czerwona. Biała jest betonowa kolumna wieży, na czerwono podświetla się natomiast iglicę. W środku znajduje się kasyno, dwa hotele, kilka restauracji, ale skoki są wyjątkowe. Podobno na południowej półkuli nie da się skoczyć z większej wysokości. Tylko 11 sekund kontrolowanego spadania (nie jak na bungee) za 225 dolarów. Co innego spacer po wąskiej kładce



dookoła kopuły. Metrowej szerokości kładka znajduje się na wysokości 200 metrów. Chodzi się dookoła wieży, ale również, będąc zawieszonym na cienkiej linie, można wisieć poza kładką, opierając się na niej tylko stopami. Podobno jest zabawnie. Lęk wysokości raczej w tej sytuacji jest niewskazany. Taki spacer kosztuje tylko 150 dolarów.

Mimo tych atrakcji Auckland trudno uznać za szalone miasto. Szalone w sensie aktywności. Ale jest w Nowej Zelandii miasto, które można nazwać szalonym. A nawet określić jako jedno z najlepszych na świecie do aktywnego sportowo spędzania czasu. To Queenstown na południu.

A więc w drogę, na południe, podobnie jak grupa polskich motocyklistów harleyowców, których spotkałem



w Auckland i którzy zaprosili mnie na kolację tuż pod więz. O swoich wrażeniach z jazdy po Nowej Zelandii opowiada Robert Kantek z Harley-Davidson Club Riders of Poland, uczestnik wyjazdu.



Do zeszłego roku Tomasz Gorazdowski był dla mnie jednym z głosów w słuchanej od lat Trójce. Tak się złożyło, że miałem go okazję poznać osobiście kilkanaście tysięcy kilometrów od Polski.

Jest taki klub miłośników motocykli Harley-Davidson założony 35 lat temu — Riders of Poland. W 2018 roku Riders of Poland w ramach organizacji Harley-Davidson Club Europe zorganizował największy zlot motocykli Harley-Davidson w Europie. Udana (również finansowo) impreza zainspirowała nas do zaplanowania dużej wyprawy, oczywiście na motocyklach Harley-Davidson. Luty 2018 roku okazał się najlepszy do wyjazdu do Nowej Zelandii. Zaplanowaliśmy prawie trzytygodniową wyprawę, tak aby zrobić jak najwięcej „atrakcyjnych” kilometrów na motocyklach.

Wybraliśmy się w sześć motocykli i dwa samochody, bo żony, dzieci, bagaże... Taką karawanę zrobiliśmy po Nowej Zelandii prawie 5000 kilometrów, zwiedzając wyspy Północną i Południową. Motocykliście głównie chodzi o jazdę. Oczywiście wybraliśmy najważniejsze atrakcje Nowej Zelandii, ale przemierzaliśmy się trasami odpowiednimi dla motocykli — nieprostymi. W Nowej Zelandii jest bardzo mały ruch samochodowy. Drogi są wąskie (praktycznie nie ma dróg szybkiego ruchu), a mosty i wiadukty jednokierunkowe, na szerokość jednego pojazdu. Wynika to z małego ruchu i jest wymarzoną sytuacją dla motocyklisty. Interior to ciągnące się pastwiska z krowami lub owcami. Rzadko małe miasteczka w stylu westernowym będące dostarczycielem niezbędnych środków produkcji, żywności lub usług dla farmerów. Więcej atrakcji widokowych można znaleźć na wybrzeżu. Tam są lasy deszczowe, lodowce, nowozelandzki fiord (Zatoka Milforda), plaże i skaliste wybrzeża. To wszystko połączone niezwykle krętymi drogami będącymi rajem dla motocyklistów.

Podróż rozpoczęliśmy w Auckland na północy Wyspy Północnej, a skończyliśmy w Christchurch na Wyspie Południowej. Po drodze widzieliśmy folklor maoryski w Rotorui (trochę trącił cepelią). Na mnie większe wrażenie zrobił las sekwojowy zwany tutaj Redwoods, gdzie możliwy jest spacer po specjalnym pomoście wśród drzew na wysokości kilkunastu metrów. Plan filmowy Hobbitonu moim zdaniem stanowi atrakcję tylko dla dzieci i prawdziwych miłośników sagi filmowej. Dla motocyklisty ciekawszy okazał się udział w największym na półkuli południowej (opinia Nowozelandczyków) zlocie motocyklowym, który odbywał się w Invercargill. Zlot jest hołdem składanym corocznie Burtowi Munro, który w 1967 roku na Indian Scout pobił rekord szybkości dla motocykli do 1000 centymetrów sześciennych wynoszący 295,5 kilometra na godzinę. Co ciekawe, rzeczony motocykl jest do obejrzenia w lokalnym sklepie metalowym. Stoi tam jako ozdoba sklepu. Wspomniany zlot to tak naprawdę seria wyścigów amatorskich na różnej klasy motocyklach.

Końcowym etapem naszej wyprawy był Christchurch. Bardzo przynębiające miasto, dwukrotnie dotknięte (w 2010 i 2011 roku) silnymi trzęsieniami ziemi. Całe kwartały bez budowli, wiele obiektów zamkniętych, często podpieranych wieżami z kontenerów. Miasto, które jest zmuszone od początku zdefiniować swój wygląd, charakter i sposób istnienia na przyszłe lata.

Motocykl stanowi wymarzoną formę zwiedzania Nowej Zelandii. Przede wszystkim daje możliwość pocucia wszystkimi zmysłami piękna tego kraju. Nie ogranicza jeźdźca dach i boki samochodu czy autobusu. Oprócz przyrody dzikiej, tak różnorodnej i wielozapachowej, można pocuć przyrodę organizowaną przez człowieka, a więc rozległe farmy hodowlane. Drogi właściwie są wyłącznie lokalne i niższych kategorii, przy czym z powodu ciągłej zmienności ukształtowania terenu są kręte i często zaskakują trudnością. Na wszystkich drogach w Nowej Zelandii obowiązuje ograniczenie prędkości do 100 kilometrów na godzinę, od drogi dwupasmowej do wąskiej drogi dojazdowej. Dużym ułatwieniem



są ustawione przed każdym zakrętem znaki z sugerowaną bezpieczną prędkością pokonania tegoż zakrętu. Problem natomiast stanowią dość silne wiatry, które tak naprawdę więcej wszędzie i różnią się tylko siłą i intensywnością podmuchów. Bywały momenty, że jechałem kilka kilometrów z koniecznością ciągłego pochylania motocykla dla utrzymania się w geometrii drogi. Jeśli chodzi o pogodę, to mieliśmy wielkie szczęście, co potwierdzili zresztą spotkani Nowozelandczycy. Miejscowi utrzymywali, że nie pamiętają tak pięknego początku jesieni. Pojechaliśmy tam w drugiej połowie lutego, czyli pod koniec nowozelandzkiego lata. Temperatury dochodziły do 30 stopni Celsjusza i prawie nie padało. Jedyne deszczowe dzień zdarzył się, gdy pokonywaliśmy Arthur Pass, ale to w górach i całkiem wysoko, więc normalne.

Czy było warto? Tak, ale z pewnymi zastrzeżeniami. Nowa Zelandia jest najdalej oddalonym od Polski cywilizowanym miejscem na Ziemi, stąd podróż tam trwa od 36 do 48 godzin. Wybierając się tak daleko, oczekiwałem widoków i wrażeń ekstraordynaryjnych, co nie do końca się sprawdziło, bo Zatoka Milforda jest tylko jednym (i to nie najbardziej spektakularnym) z fiordów (podobne są w Norwegii), wybrzeże ze skałami naleśnikowymi to „podróbka” wybrzeża portugalskiego, las deszczowy

można obejrzeć bliżej w Malezji lub Wietnamie. Atrakcją jest fakt, że to wszystko znajduje się w jednym kraju. Należy też wziąć poprawkę na to, że nie korzystaliśmy z atrakcji wielu parków narodowych, które proponują widoki przy przemieszczaniu się pieszo, rowerem, kajakiem czy łodzią. Niestety, motocykli tam nie wpuszczali, a szkoda.

Z kulinariów największym pozytywnym zaskoczeniem były małże nowozelandzkie z charakterystycznymi zielonkawymi muszlami, endemiczne dla tego rejonu. W Nowej Zelandii przekonałem się, jak wspaniałe mogą być białe wina, które wydają się tu najlepsze na świecie.




Zwiedzanie Nowej Zelandii na motocyklu, obok chyba jazdy kamperem, to najlepszy pomysł z możliwych. Pamiętam, że kiedy byłem w Nowej Zelandii pierwszy raz, lata temu, miałem okazję niewielkie fragmenty tego kraju pokonać właśnie na motocyklu. Przepraszam, na harleyu, nie na motocyklu, jak uczono w *Pulp Fiction*. I pamiętam to do dziś, co potwierdza, że było to przeżycie niezwykle.

Ruszyłem w drogę przed motocyklistami, z którymi spotkałem się później w Rotorui. Wysłuzona mazda spokojnie połykała kolejne kilometry, poruszając się jednym z niewielu w Nowej Zelandii fragmentów autostrady — Southern Motorway. Roboty drogowe przerywały płynną jazdę co kilka kilometrów, widać było, że Kiwi nadrabiają wieloletnie opóźnienia w rozwijaniu sieci drogowej. Autostrada przeszła w drogę ekspresową, a potem już w normalną jednopasmową i tak zostało. Zielone pola rozciągały się po obu stronach drogi, nie było widać ani pól owcy, które podobno są wszędzie, nie spotkałem ani jednego autostopowicza i tak już było do końca, choć nie rozumiem dlaczego. To kraj jakby stworzony do podróżowania autostopem. Sympatyczni ludzie, spore odległości między miastami, bezpiecznie, nic tylko podróżować.

Pierwszy przystanek: Waitomo.

PROGRAM PARTNERSKI

— GRUPY HELION —

- 
1. ZAREJESTRUJ SIĘ
 2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
 3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW w działający bankomat!

Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!

<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA
Helion 

OBIETNICA TIAKI TO SZACUNEK WOBEC NATURY

Nowozelandczycy odczuwają szczególny związek ze swoim krajem, bo od najmłodszych lat nakłada się na nich obowiązek opieki nad miejscem, w którym żyją. **Obietnica Tiaki to zobowiązanie do opieki nad Nową Zelandią** — na teraz i dla przyszłych pokoleń. Także wszystkich przybyłych zachęca się, by dbali o kraj, w którym goszczą, o środowisko, ziemię i wodę i by nie zostawiali po sobie nic prócz wspomnień.

Tomasz Gorazdowski, dziennikarz, podróżnik i autor książek podróżniczych, tym razem zabiera nas w miejsca wyjątkowe, na sam koniec świata — do **Nowej Zelandii** i na **wyspy Pacyfyku**. Zgodnie z obietnicą Tiaki będzie to podróżowanie z otwartym umysłem i sercem, odpowiedzialnie, z szacunkiem do innych, do kultury i przyrody, o którą tak dbają mieszkańcy tych miejsc.

Wraz z autorem wybierzemy się więc do egzotycznych krajów, takich jak Wyspy Cooka, Vanuatu czy Samoa, które często trudno nawet zlokalizować na mapie. Na wielu zdjęciach zobaczymy **zapierającą dech i różnorodną przyrodę Nowej Zelandii oraz bajeczne tropikalne plaże wysp Pacyfyku**. Poznamy atrakcje turystyczne i ciekawostki, ale też mieszkańców. Autor bowiem oddaje głos spotykanym po drodze ludziom: żyjącym w miejscach, do których nie poprowadzą nas przewodniki turystyczne, i wiedzącym rzeczy, o jakich nie przeczytamy w innych książkach.

PATRON WYDANIA:



Księgarnia internetowa:
<http://bezdroza.pl>

Zamówienia telefoniczne:
0 801 339900
0 601 339900

Sprawdź najnowsze promocje:
📍 <http://bezdroza.pl/promocje>
Przewodniki najchętniej czytane:
📍 <http://bezdroza.pl/bestsellery>
Zamów informator podróżniczy:
📍 <http://bezdroza.pl/newsletter>

Helion SA
ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice
tel.: 32 230 98 63
e-mail: bezdroza@bezdroza.pl
<http://bezdroza.pl>

ebook dostępny na:

